

Kilka tygodni później na miasto spadły bomby. Petronela Wapno myślała tylko o tym, jak ochronić Ryfkę.

– Siedz pod stołem albo nie, pójdziemy do piwnicy – miotała się. – Albo nie! Trzeba nam na jaką wieś wyjechać!

Ale Młotkowie tylko machali ręką, jeszcze pamiętali wielką wojnę, więc myśleli, że sytuacja niedługo się poprawi.

Petra też myślała, że gorzej być nie może, kiedy zamknęli ich w dzielnicy, którą nazwali gettem, i ogrodzili płotem. Zniknęło wielu ludzi... ciągle znikali. Nie mogła tu być, ale powiedziała, że jest rodziną Młotków i jakimś cudem udało jej się zostać.

Po dwóch latach, kiedy znikanie przybrało na sile, Młotkowie poprosili Petrę o przysługę.

– Petra, musisz stąd wyjść i zabrać ze sobą Ryfkę – poprosił swoim najpoważniejszym głosem jeszcze bardziej postarzały Mosze.

– Ale... – chciała coś powiedzieć, ale wiedziała, że ojciec Ryfki ma rację.

– Wywożę już wszystkich jak leci. I tak nam się długo udawało – pokiwała głową Ruchla. – Sama nie wiem, jakim cudem – rozłożyła ręce. – Nie będziemy igrac z losem naszego najmłodszego i obecnie jedyne dziecko. Nas zaraz wywożę. Tu masz papiery. Oczywiście fałszywe. Tu pieniądze, wszystkie, jakie mamy. Pilnuj. One są ważniejsze niż dokumenty.

Petra zaniemówiła z przejęcia. Pożegnanie miało w sobie coś tak ostatecznego jak śmierć, bo przecież w istocie właśnie było ostatnim przed śmiercią mocnym uściskiem. Jaka szkoda – pomyślała kucharka – że dopiero teraz się dotknęliśmy. Przed śmiercią.

Ryfka przytuliła się do mamy i taty. Ona też wiedziała. Ona wiedziała. Szkoda, naprawdę szkoda, że była taką mądrą dziewczynką i wszystko rozumiała, co wcale nie było dla niej dobre.

– Przeżyj tę wojnę, Ryfka. Tylko o to cię prosimy – żegnał córkę ze łzami w oczach Mosze.

– Dobrze – przyrzekła.

Ruchla uklękła na podłodze i złapała dziecko za ramiona. Długo patrzyła jej w oczy.

– Córciu, może za mało ci pokazałam, jak bardzo cię kochamy... ja i tata, ale jesteś naszym skarbem, błogosławieństwem... Zawsze cię kochałam, Ryfka, *mein Schatz** – pocałowała córeczkę w czoło po prawej, po lewej i w sam środek, a potem mocno przytuliła. – Petra, a jak to wszystko się skończy, kup jej rower! I jeszcze to węz – zdjęła ostatni pierścionek i wsunęła na palec kucharki.

Udało im się uciec z getta przez cmentarz Wolski. Petra wynajęła po aryjskiej stronie małe mieszkanie w kamienicy. Udawały babcię i wnuczkę. Teraz Ryfka miała na imię Ewka. Nawet jej się podobało. Kilka razy jej perfekcyjny niemiecki uratował im życie. I pieniądze. Pieniądze są ważne, nie pierwszy raz w życiu przekonała się o tym Ewka. Czasem pieniądze to samo życie. Kupowały życie za pieniądze, chociaż stare przysłowie mówiło, że nie kupisz zdrowia za pieniądze.

– Zobacz, Petra, zdrowia nie kupisz, ale życie tak – skomentowała dziewczynka niebezpieczną sytuację, w jakiej się pewnego razu znalazły na ulicy, kiedy jakiś stary znajomy ich zatrzymał.

* *Mein Schatz* (niem.) – moje kochanie.

– Ja ciebie pamiętam – powiedział, wymierzając palec w kierunku Petry. – Ty pracowałaś dla tych krawa-
ciarzy, dla Żydów. A to pewnie jest ich dziecko – dźgnął
palcem Ewkę, aż się zachwiała. – Pamiętam. Niesamo-
wita Ryfka Młotek.

Milczały, bo co miały powiedzieć. Wiedziały, cze-
go chce.

– Ile? – spytała rezolutnie dziewczynka, żeby skoń-
czyć tę przykrą sytuację i jak najszybciej się oddalić.

Powiedział, dostał połowę, bo dziecko się targowa-
ło i wzięło pod włos przypomnieniem, ile dzięki niej
wygrał przed wojną. Petra cały czas milczała, wstrząś-
nięta zachowaniem znajomego.

– I ty do kościoła chodzisz? – mruknęła pod nosem.

Udał, że nie słyszy, z zadowoleniem chowając pie-
niądze.

Wracały okrężną drogą, często oglądając się za sie-
bie i sprawdzając, czy czasem za nimi nie idzie.

– Pakuj się, Ewka! – powiedziała w domu Petra. –
Ani chwili dłużej nie możemy tu zostać.

– Jasne. Może do Kazimierza nad Wisłą pojedzie-
my? Będziemy hodowały białe kozy. Tam nas nikt nie
zna – zaproponowała.

– Raczej zostaniemy. Wiesz, jak to mówią, najciem-
niej pod latarnią.

Często zmieniały miejsce zamieszkania. Trochę
handlowały, bo się bały, że w końcu pieniądze się skoń-
czą. Oczywiście głównie Ewka przejawiała spore zdol-
ności do handlu.

– Masz dryg! – chwaliła ją Petra.

– Mam! – potwierdzało zadowolone dziecko.

Kiedyś w parku siedziały na ławce i jakiejś kobiecie
spodobał się pierścionek Ruchli na palcu Petry. Wy-
mowne spojrzenie na Ewkę powiedziało wszystko i bi-
żuteria zmieniła właścicielkę.

– Twoja mama prosiła, żebym ci ten rower kupiła,
to pójdę.

– Weź mnie.

– Nie. Lepiej zostań. Nikomu nie otwieraj.

– Dobrze. Dobrze. Nie martw się, Petra. Nie mogę
się doczekać tego roweru.

Poszła. Trochę jej zeszło w mieście. Targowała się
o ten rower, nawet się udało. Wracała uszczęśliwiona,
że wreszcie spełni się marzenie Ewki.

Stanęła na progu mieszkania ze zmartwiałym ser-
cem. Kierownica roweru wysunęła jej się z rąk. Ło-
skot jego upadku skojarzył się Petrze z zatraskującym
się wiekiem trumny. Drzwi były szeroko otwarte,
a mieszkanie puste. Czuła, że jest puste, że nikogo
w nim nie ma.

Nie ma Ewki, nie ma Ryfki. Nie upilnowała dziecka. Nie dała rady ochronić jedynej istoty, którą kochała.

Zwabiona hałasem zjawiała się sąsiadka.

– Zabrali ją. Wygarnęli jeszcze dwóch Żydów i jeszcze jedno dziecko. Musi ktoś doniósł – wzruszyła ramionami i schowała się za swoimi drzwiami.

Petra zbiegła na dół i bezradnie stanęła na ulicy, ale już było po wszystkim. Zabrali.

Z pobliskiej piekarni dochodził zapach świeżo upieczonego chleba. Pod oknem przejechała furmanka wyładowana cebulą. Ktoś się spieszył z jakąś paczką w objęciach. Wszystko toczyło się tak zwyczajnie.

Czy to normalne? – zapłakała gorzko Petra.

Stróż wyszedł z miotłą i popatrzył na nią współczująco. Kucharka stanęła na skraju chodnika, gdzie przy samym krawężniku leżała zakrwawiona niebieska kokarda Ewki. Łzy płynęły Petrze bezgłośnie po policzkach. Popatrzyła na mężczyznę pytająco, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

– Jedno dziecko zaczęło uciekać – powiedział ledwie słyszalnym głosem, jakby ze wstydem.

Serce Petry Wapno skamieniało w jednej chwili. Jeszcze miała nadzieję, jeszcze myślała, że może użyje wszystkich pieniędzy, co jej zostały, i wykupi Ewkę

z Umschlagplatzu*, takie historie się przecież czasem zdarzały, albo pojedzie za nią i coś może po drodze się wydarzy, ale teraz...

Wróciła na górę, powłócząc nogami. Wciągnęła do środka rower, cudny, czerwony rower, tylko troszeczkę poobijany, i zamknęła za sobą drzwi. To nie może być prawda – pomyślała i obeszła całe ich maleńkie mieszkanko. Nie ma. Nie ma. Nie ma. Na koniec zajrzała jeszcze raz pod kuchenny stół, gdzie od początku wojny Ewka czuła się najbezpieczniej i gdzie zazwyczaj sypiała. Wzięła głęboki oddech. Wolno odsunęła kretonową, czerwoną zasłonkę, którą jeszcze specjalnie dla komfortu dziecka przyczepiła, i serce stanęło jej po raz drugi tego dnia.

Dziewczynka spała sobie spokojnie na materacyku, przykryta kocem z frędzlami. Petra otworzyła szeroko oczy, wysunęła drżącą dłoń, dotknęła delikatnie kocyk. Początkowo nic nie poczuła, więc pomyślała, że to tylko sen. Powiedziała więc stwarzające słowo „Ryfka”, dla pewności dodała „Ewka” i przez grubą tkaninę przeniknęło do niej ciepło rozgrzanego ciała i miarowy rytm serca. Taaak! Udało im się. Po raz kolejny im się udało!

* Umschlagplatz – plac przeładunkowy w Warszawie, gdzie Niemcy gromadzili obywateli polskich żydowskiego pochodzenia przed wywózką do obozów koncentracyjnych.

Kobieta opadła na krzesło i stłumiła szloch. Przesiedziała tak dobre pół godziny, strzegąc snu Ewki.

Potem zebrała się w sobie i zaczęła szykować się do kolejnej drogi. Jedzenie w węzełek. Trochę rzeczy do dużego plecaka, trochę do małego. Były już naprawdę dobrze zorganizowane. Wiedziały, że rzeczy ciężą, że do rzeczy nie można się przyzwyczajać, bo się je traci. W czasie wojny wszystko się traci. Lepiej się do niczego i nikogo nie przyzwyczajać. Tylko pieniędzy trzeba pilnować z najwyższą troską. Bo pieniądze to życie.

Dopiero po wszystkim obudziła Ewkę. Miała rozczochrane włosy i brakowało niebieskiej kokardy.

– Zranili cię? – spytała, oglądając ją dokładnie.

– Uciekłam! Obiecałam przecież mamie, że przeżyję. To nie moja krew, tylko chłopczyka z piwnicy – dodała, patrząc na zakrwawioną kokardę. – Zabrali go. Wiesz?

– Wiem.

– Nawet nie płakał. On wiedział, co z nim będzie – powiedziała ze smutkiem, żeby za chwilę krzyknąć: – Rower! Wreszcie się doczekałam. Jesteś kochana! Dokąd jedziemy?

– Jak to dokąd? – zdziwiła się ze śmiechem Petra. – Do Kazimierza, do tych twoich kóz.

I tak zaczęła się ich nadwiślańska odyseja, jak się śmiała Petra, która w getcie przeczytała z Ewką całego Homera. Ludzie w getcie dużo czytali.

– Jestem Eurykleja-piastunka*! – śmiała się, poprawiając niesforne włosy Ewki.

Wyruszyły na południe. Ewka jechała na swoim rowerku, a obok szła objuczona plecakiem i torbą Petra. Z plecaka zwisał koc i kawał brezentu na deszczowe i chłodne noce. Okazało się, że dziecko na rowerze budzi sympatię i nikt nie podejrzewał, że mogą być uciekinierkami z getta.

Pierwszą noc spędziły pod gołym niebem w parkowej altanie. Kiedy tylko wydostały się z miasta, Petra odetchnęła z ulgą, bo prawdopodobieństwo spotkania kogoś znajomego było znikome. Szły i szły wiele dni. Petra nigdy w życiu się nie nachodziła tyle, co teraz. Zawsze od stołu do zlewu, na podwórko i po zakupy, do kościoła najdalej, nie licząc oczywiście wyprawy do Świdra z Ryfką. Teraz to dreptanie za rowerkiem sprawiało jej przyjemność, gdyby nie strach, że wydarzy się coś strasznego, bo jak jest wojna, to nie ma siły, żeby się nie wydarzyło.

Wieś na wysokim brzegu Wisły była maleńka. Przemierzały ją w ciemnościach i uporczywym deszczu.

* Eurykleja – piastunka, niania Odyseusza i Telemacha.

– Zapukajmy gdzieś – poprosiła Ewka, szcękając zębami.

– To ostatnia chata i jeszcze się w oknach świeci.

– Najpierw zajrzyjmy przez okno – dziewczynka zatrzymała zaciśniętą do pukania dłoń i na paluszkach podkraśla się do małego okna.

Zajrzała do środka i między doniczkami gęstego mirtu dostrzegła przeświecające światło lampy naftowej i starą kobietę przy kołowrotku.

– Możemy wejść – ucieszyła się Ewka. – To prządka. Kirke*.

– A jak nas zamieni w świnie? – zaśmiała się Petra.

– Coś ty? – obruszyła się dziewczynka. – Jestem Odysejką, nie Odyseuszem. Kirke nic nam nie zrobi.

Przyjęła je pomarszczona, delikatna jak papierowy motyl babuleńka.

– O, już jesteście! – mruknęła, zupełnie jakby na nie czekała. – Wchodźcie, bo wilgoć ciągnie od rzeki i deszczu. Czułam od rana, że będą goście. Sroka skrzeczała i kot się mył jakoś tak niezwyczajnie. Na gości. Siadajcie! Zaraz barszczu naleję – odwróciła się do kuchni, szurając rozdeptanymi bamboszami. – Można zostać dłużej. Dom na odludziu, a las blisko.

– Nie boi się pani? – spytała Ewka.

* Kirke – czarodziejka, zamieniła towarzyszy Odyseusza w świnie, a jego samego przez rok więziła na swojej wyspie.

– Nie. Zostańcie. Tu jest spokojnie.

– Idziemy do Kazimierza nad Wisłą. Będziemy hodowały białe kozy.

– W naszej wsi też są kozy, łaciate, ale w białe łaty. A tam jest wolne łóżko.

– Ja pod stołem – zastrzegła Ewka.

Zostały. Było im dobrze. Babulka codziennie rano po śniadaniu zasiadała do swoich pociemniałych ze starości krosien albo kołowrotka. Potrafiła tak przesiadzieć do południa, zapominając o jedzeniu i picciu. Inne sprawy prawie w ogóle ją nie interesowały.

Koza Cypka otwierała sobie drzwi kopytkiem i wchodziła do chatki, stając obok warsztatu tkackiego i patrząc z wyrzutem na babulkę, która zrywała się, łapiąc się za głowę i krzycząc: „Znowu zapomniałam cię wydoić. Wybacz, Cypka!”. Czasem jednak koza stała, stała i nic się nie działo. Wtedy podskubywała mirt*. Babulka, czując zapach rozgniatanego ziela, zawsze zrywała się z zydelka i pędziła ją doić.

Obecność Ewki i Petry ułatwiała jej życie. Nawet zapadnięte policzki lekko się wypełniły, przezroczyście ciało przestało znikać, a koza zawsze była na czas dojona. Petra cieszyła się, że dziecko zaprzyjaźniło się z babulką.

* Mirt – roślina doniczkowa o wonnych liściach.